

MOJE HOBBY

Rozmowa redaktora naczelnego *Przeglądu Geologicznego* Profesora Stanisława Wołkowicza z dr. hab. Wojciechem Morawskim, wybitnym kartografem, emerytowanym Profesorem PIG-PIB

Prof. dr hab. Stanisław Wołkowicz (S.W.): Szanowny Panie Profesorze, znamy się wiele lat, wiem doskonale, jakie jest Pana hobby, ale może zaczniemy od krótkiej informacji o pracy zawodowej i związanej z nią pasją do poznawania świata.

Dr hab. Wojciech Morawski (W.M.) (ryc. 1): Mam w życiu dwie pasje: geologia i łowiectwo. Może to ma związek z moim znakiem zodiaku, którym są bliźnięta?

Geologia to studia na Wydziale Geologii UW, a potem nieprzerwanie 37 lat pracy w Państwowym Instytucie Geologicznym w Warszawie, na stanowiskach od stażysty asystenta do profesora, po drodze doktorat i habilitacja, 9 arkuszy *Szczegółowej Mapy Geologicznej Polski* w skali 1 : 50 000, 165 pozycji bibliografii. Żona Anna, także geolog, koleżanka z grupy na studiach, całe zawodowe życie przepracowała w Zakładzie Nauk Geologicznych Polskiej Akademii Nauk. Z pasją geologiczną wiąże się pasja podróży, szczególnie tych pozwalających zobaczyć na własne oczy cuda geologii poznane z geologii dynamicznej, jak np. gejzery od Islandii i Yellowstone, przez Boliwię do Nowej Zelandii, lodowce od Spitsbergenu po Himalaje, wulkany od Mount Rainier, Kilimandżaro, Etny, Wezuwiusza po wulkany na Jawie i Bali, pustynie od Dolin Śmieci w Kalifornii i Namibii, przez Australię do Sahary (na płaskowyżu Eglab w centrum Sahary spędziłem 3 lata na kontrakcie badań geologicznych)... – i tak dalej – góry, wodospady, kaniony – niesamowite cuda przyrody, które geolog widzi i podziwia chyba pełniej niż zwykły turysta.

S.W.: Fantastyczna promocja pracy geologa, ale gwoili sprawiedliwości należy dodać, że nie wszyscy tyle podróżowali, chociaż naukowcy z wielu dziedzin nauki nam zazdroszczą tych wycieczek po czy przed konferencyjnych. Przejdźmy więc do pasji – hobby, które nie jest związane z geologią. Musimy też chyba obydwa przestrzec Czytelników, że problem, jaki dzisiaj poruszamy, ma mocno skonstrastowany odbiór w społeczeństwie. Mam nadzieję, że poruszona tematyka wywoła u wielu Czytelników refleksję.

W.M.: Dobrze, więc dość o geologii – jak powiedziałem druga moja pasja to łowiectwo, czy inaczej mówiąc myślistwo, czyli „polowanie na grubego zwierza”. Myślę, że łowiectwo mam w genach, bo oboje moi Rodzice polowali przed wojną, co było popularne w środowiskach ziemiańskich. Moje łowiectwo jednak zaczęło się od geologii, bo przy Państwowym Instytucie Geologicznym działało Koło Łowieckie GEOLOG. Jego członkiem był mój kolega i serdeczny przyjaciel Piotr Osełka, technik, z którym siedziałem w jednym pokoju w ówczesnym Zakładzie Zdjęć i Map Geologicznych w gmachu C. On mnie namówił do wstąpienia do Polskiego Związku Łowieckiego (PZŁ), odbycia kursu dla nowo wstępujących i zapisania się do insty-



Ryc. 1. Wojciech Morawski w redakcji *Łowca Polskiego*. Wszystkie fot. z arch. W. Morawskiego

tutowego koła – w przyszłym roku będę obchodził 50. rocznicę tej decyzji. W kole tym było wówczas wielu znamiennych geologów – pracowników PIG: Sebastian Biernat, Wacław Bujnowski, Józef Lis, Sławomir Łodziński, Marian Subieta, Wiesław Szczepanowski, niestety nie ma już ich wśród nas. Koło GEOLOG nadal istnieje – nie zmieniło nazwy – ale ja jestem aktualnie jedynym geologiem wśród jego członków. Koło powstało kilka lat przed moim do niego wstąpieniem, początkowo nie miało własnego obwodu łowieckiego i prowadzone były intensywne o to starania. Powiodły się one dzięki zwolnieniu jednego z obwodów na Kurpiach z powodu zaniedbań w prowadzeniu gospodarki łowieckiej przez koło, które tam dzierżało kilka sąsiednich obwodów. Jest to obwód położony na pograniczu obecnych województw mazowieckiego i podlaskiego, wg kryteriów łowieckich bardzo słaby, czyli o bardzo niskim stanie zwierzyny – teren zgodnie ze słowami poety: [...] *laski, piaski i karaski*. W tamtym czasie były tam tylko nieliczne sarny, przechodnie dziki, a gdy pojawił się jeleń to była sensacja. No i wszechobecne kłusownictwo – wnykarstwo i kłusowanie z nielegalnie posiadaną bronią. W tamtych latach była to zmore na terenie kurpiowszczyzny, a walka z nim była wtedy naszym zajęciem ważniejszym od polowania. Dziś na tym terenie kłusownictwo praktycznie nie występuje, a stan zwierzyny jest niezły – dość często zdarza się spotkanie dużej chmary jeleni.

Uprawianie łowiectwa było wtedy dla mnie wyzwaniem zarówno organizacyjnym – prace terenowe w PIG, troje małych dzieci – do pogodzenia z wyjazdami do łowiska, jak i finansowym. Zakup broni, akcesoriów, koszty składek członkowskich do PZŁ i do koła oraz koszty wyjazdów, to było sporo dla dwojga początkujących pracowników naukowych. Zaczynałem więc od starej, używanej radzieckiej dubeltówki, a koszty pokrywałem ze sprzedaży skórek z upolowanych lisów, które wtedy były w modzie. Odległość łowiska od Warszawy powodowała, że potrzebna była kwatery na terenie obwodu. Początkowo były to noclegi w spiworach na podłodze w kuchni u gajowego Kazia, potem sprowadziliśmy barakowóz, który już nie nadawał się do eksploatacji na wierceniach. Następnie dyrekcja PIG przekazała nam domek kempingowy, zlikwidowany w jednym z rozbudowanych magazynów rdzeni wiertniczych. Za zgodą nadleśnictwa za terenem gajówki, na niewielkiej polanie, w środku lasu, został postawiony na podmurówce barakowóz wraz z domkiem kempingowym. Tak powstał nasz domek myśliwski, wielokrotnie potem przebudowywany i rozbudowywany – dobudowaliśmy trzy pokoje na poddaszu, łazienkę, kuchnię i magazynki. Wywierciliśmy studnię (abisynkę) i wybudowaliśmy szczelne szambo, żeby było ekologicznie. Obecnie domek ten nadal funkcjonuje wygodnie i całorocznie (ryc. 2). Jest to fantastyczne miejsce w środku Puszczy Kurpiowskiej, wśród szumu lasu, śpiewu ptaków i szczekania saren. Gajówka dawno została zlikwidowana i rozebrana, a na naszą prośbę nadleśnictwo pozostawiło duży budynek gospodarczy, który służy nam za magazyn na materiały do budowy urządzeń łowieckich, drewna na opał i mieści również przestronną salkę do zebrań i spotkań towarzyskich obecnych członków koła, z których większość mieszka w sąsiedztwie obwodu.

Wracając do historii – w 1980 r. zostałem przez kolegów powołany na stanowisko łowczego w zarządzie koła, czyli gospodarza obwodu i organizatora polowań, funkcje tę pełniłem nieprzerwanie przez równe 30 lat czyli do 2010 r. To wymagało, poza krótkimi wyjazdami na dwudniowe polowania zbiorowe, spędzania w łowisku większości urlopów, czyli łącznie ok. 2 miesiące w roku. Były to głównie wyjazdy rodzinne z żoną i dziećmi, a po latach również z wnukami. Choć to suchy las sosnowy na wydmach, podmokłe łąki i olsy, piaszczyste pola, to dla mnie najpiękniejsze miejsce na ziemi i po 50 latach mogę użyć przysłowia: *znam tam każde drzewo*. Z tymi



Ryc. 2. Domek myśliwski Koła Łowieckiego GEOLOG

drzewami nie jest sprawa prosta, bo celuloza w Ostrołęce potrzebuje materiału z krótkiego transportu, więc stale są nowe trzebieże i zręby. Dziś wyrąbywane są już oddziały, które pamiętam jako młodniki... jak ten czas leci!

S.W.: Z tej wypowiedzi wynika, że myślistwo to nie nieruchome i bezszelestnie wysiadanie na ambonie, ale to przede wszystkim duża ilość pracy na dzierzawionym obwodzie łowieckim.

W.M.: Oczywiście! Koła łowieckie mają bardzo duży zakres obowiązków! O ile wiem w większości kół łowieckich prace gospodarcze w łowisku są traktowane priorytetowo, a nawet są obowiązkowe z uchwalonymi przez koło limitami dniówek do przepracowania, od czego też zależą przyznawane członkom koła indywidualne zezwolenia na odstrzał określonych sztuk zwierzyny. Zezwolenia takie są wydawane każdemu na drukach ścisłego zarachowania i są limitowane, a potem wymagają szczegółowego sprawozdania i rozliczenia. Moje zaangażowanie w zagospodarowanie obwodu – poletka żerowe, wodopoje, paśniki, magazyny na karmę, lizawki, urządzenia łowieckie, czyli ambony i zwijki, oraz gromadzenie karmy, np. solonej liściarki, siana, buraków pastewnych itd., no i potem zimowe dokarmianie, w związku z tym, że pełniłem funkcję gospodarza obwodu, było większe niż innych kolegów w kole. Wszystko to wypełniało, obok samych polowań, tę moją łowiecką pasję, ale i wpływało na rodzinę. Dzieci wychowywały się w kontakcie z przyrodą, ze zbieraniem jagód, borówek i grzybów, stopniowo z coraz większym udziałem w pracach w łowisku. Poznały tajniki i piękno przyrody, wiedzą, że mleko daje krowa, a nie *Biedronka* i że sarna nie jest żoną jelenia... Starszy syn zarazili się bakcylem łowieckim, skończył studia zootechniczne w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego ze specjalnością łowiecką i napisał pracę magisterską na podstawie kilkudziesięcioletniej dokumentacji gospodarki łowieckiej naszego obwodu na tle przemian w rolnictwie i leśnictwie na Kurpiach, pod kierunkiem prof. Jana Szyszki. Poluje, i pracuje w branży łowieckiej.

Niestety w historii naszego koła i obwodu przyszedł moment dość dramatyczny. Przez dziesiątki lat granice obwodów łowieckich były wyznaczane przez przyrodników – fachowców od naturalnych granic bytowania populacji zwierzyny i naturalnych ciągów jej migracji. I tak główne granice naszego obwodu były na rzece Szkwie i ruchliwej szosie międzywojewódzkiej Olsztyn–Łomża. Niestety kilka lat temu urzędnicy poprzedniego rządu uznali, że są mądrzejsi od poprzednich pokoleń i wprowadzili „porządek”, zamieniając granice przyrodnicze na administracyjne. W ten sposób nasz obwód został zmniejszony o 1/3 pierwotnej powierzchni, zabrano część położoną w województwie mazowieckim, reszta pozostała w podlaskim. Teraz granica obwodu pokrywa się z granicą administracyjną województwa i jest nie na rzece, lecz wzdłuż ściany lasu, więc koledzy z sąsiedniego już mazowieckiego koła polują na zwierzynę wychodzącą z naszego lasu i płacą rolnikom odszkodowania za szkody, które na ich polach robią „nasze” dziki.

S.W.: Osobie nie mającej zbyt wiele wspólnego z myślistwem, czy jak woli Pan Profesor z łowiectwem, wydaje

się, że aby zostać myśliwym należy zapisać się do związku, uzyskać pozwolenie na broń, i można strzelać. Tymczasem jak Pan wspomniał, na stanowisko łowczego został Pan powołany przez kolegów. Jak przebiega kariera myśliwego?

W.M.: Funkcje w kole, a właściwie w zarządzie koła, to oddzielna sprawa – te są z wyboru, na walnych zgromadzeniach członków koła. Ja początkowo byłem skarbnikiem, a od 1980 r. łowczym. Natomiast zostać myśliwym nie jest tak prosto. Kandydat na myśliwego może starać się o członkostwo w PZŁ w dwojaki sposób: przez członkostwo w kole łowieckim albo bez koła („wolny strzelec”), co jest drogą dość marginalną, ale możliwą. Podstawowa droga to nawiązanie kontaktu z kołem łowieckim, uzyskanie przyjęcia na staż i otrzymanie opiekuna – któregoś z członków wybranego koła. W trakcie stażu, który trwa zwykle co najmniej rok, trzeba czynnie brać udział w pracach gospodarczych w łowisku i w polowaniach, oczywiście jedynie jako statysta lub naganiacz na polowaniach zbiorowych. Zwykle prowadzi się dziennik stażysty i potem zarząd koła decyduje, czy kandydat nadaje się na myśliwego, i uchwala zgodę na przyjęcie go na członka koła. Wtedy taki kandydat musi odbyć kurs dla nowo wstępujących organizowany przez zarząd okręgowy PZŁ (okręgi to dawne województwa) i zdać egzaminy. Jeśli spełni te wszystkie warunki, otrzyma legitymację członka PZŁ i zostanie przyjęty do koła, może starać się o zezwolenie na zakup broni myśliwskiej. No i już może zacząć polować, ale na razie tylko na zwierzynę drobną i dziki oraz sarny. Po kilku (zwykle trzech) latach, jeśli zarząd koła wyda pozytywną opinię, można odbyć kolejny kurs – na selekcionera.

Tu możemy wrócić do historii mojego łowiectwa. Po trzech latach od wstąpienia do PZŁ i do Koła GEOLOG, w 1980 r. odbyłem kurs selekcyjny – wyższy stopień wtajemniczenia łowieckiego, uzyskując zezwolenie na posiadanie broni kulowej (sztucer) i polowanie na samce zwierzyny płowej, zgodnie z zasadami selekcji osobniczej, czyli kozły (sarny) i byki (jelenie), w tamtych czasach jeszcze również łosie. Na tym etapie uprawiania łowiectwa dochodzi dość skomplikowana wiedza dotycząca selekcji samców zwierzyny płowej, która jest oparta na rozpoznaniu wieku i kondycji danej sztuki na podstawie zarówno sylwetki, zachowania, jak i formy poroża. Z tym są związane trofea – obowiązek preparowania czaszki z porożem i przedstawienia jej corocznie specjalnej komisji do oceny. W przypadku oceny negatywnej, gdy komisja uzna sztukę za przyszłościową, czyli odstrzeloną nieprawidłowo – myśliwy zostaje ukarany zakazem polowania na ten gatunek zwierzyny w następnym roku. Niewielką część samców, które osiągnęły już odpowiedni, zaawansowany wiek, można odstrzelić za specjalnym pozwoleniem i to już są tzw. poroża medalowe ze skomplikowaną punktacją, wystawiane na wystawach krajowych i światowych – to cała dodatkowa wiedza. Ja w swojej karierze łowieckiej nie strzeliłem dotychczas ani jednej takiej sztuki.

Wraz ze strzeleniem pierwszej sztuki zwierzyny grubej założyłem sobie notatnik, który prowadzę do dziś, gdzie notuję rok po roku każdą strzeloną sztukę z opisem: data, godzina, miejsce, okoliczności, waga, płeć itd. Stąd wiem dokładnie, że przez te 50 lat strzeliłem łącznie 399 sztuk zwierzyny grubej, a strzelony w maju obecnego roku kozioł jest 127. Tak na marginesie tych danych ilościowych

nasuwa mi się refleksja dotycząca dość niestety powszechnej krytyki myśliwych, że *wybijają całą zwierzynę i niedługo w Polsce będzie pustynia [...]*.

S.W.: Przyzna Pan, że wspomniane przed chwilą liczby są imponujące, bo ustrzelenie prawie 400 sztuk „grubej zwierzyny” brzmi jak przygotowanie się do bitwy z Krzyżakami pod Grunwaldem, kiedy to Jagiełło zarządził polowania na dużą skalę w celu zgromadzenia odpowiedniej ilości prowiantu. A na początku naszej rozmowy wspominał Pan, że były tam tylko... laski, piaski i karaski!

W.M.: Przypominam, że to jest wynik moich polowań przez 50 lat! Były lata gdy narzucano nam wysoki stan odstrzału, który mieliśmy obowiązek wykonać, i ja jako łowczy byłem za to odpowiedzialny, więc siłą rzeczy strzelałem więcej, w swoich notatkach znalazłem wyjątkowe lata, gdy było to kilkanaście sztuk, w innych zwykle kilka. Trzeba wiedzieć, że corocznie na terenie Polski myśliwi strzelają łącznie ok. 250 tys. dzików, ok. 100 tys. jeleni i ok. 200 tys. saren. Jest wiele obwodów polnych, gdzie praktycznie nie poluje się na zwierzynę grubą, a są takie obwody, na których przeciętny myśliwy strzela kilkadziesiąt sztuk rocznie.

Sumiennie prowadzona statystyka dostarcza wielu ważnych informacji. Jeśli na jednym naszym małym obwodzie w ciągu ostatnich 50 lat kilkunastu myśliwych strzeliło łącznie kilka tysięcy sztuk zwierzyny grubej, to dlaczego teraz co roku przy ustalaniu planu odstrzału wspólnie dla całego regionu łomżyńskiego, z udziałem nadleśnictw i władz gmin, są trudne targi, w których zarządy kół łowieckich bronią się przed narzucanym nam odstrzałem coraz większej ilości zwierzyny we wszystkich gatunkach łownych, bo *rosną szkody w lasach i na polach*. Okazuje się więc, że konieczna redukcja pogłowia zwierzyny robiona planowo, w odpowiednim czasie i w stosunku do sztuk wybranych zgodnie z zasadami selekcji, prowadzi do poprawy zarówno liczebności populacji, jak i jakości osobniczej. Poza regulacją pogłowia zwierzyny, w wyniku gospodarki łowieckiej corocznie na rynek krajowy i na eksport trafiają tysiące ton najwyższej jakości mięsa z dzierzyny. To do nas z całego niemal świata przyjeżdżają myśliwi na polowania dewizowe, zostawiając znaczne środki finansowe wspierające gospodarkę łowiecką. Wiele krajów świata, szczególnie europejskich, stara się wzorować na polskim modelu łowiectwa. Żeby te mechanizmy dotyczące koniecznej regulacji pogłowia zwierząt dziko żyjących zrozumieć, trzeba mieć odpowiednią wiedzę przyrodniczą, a tej zwykle brakuje krytykom łowiectwa. Od wielu lat, zgodnie z historycznymi doświadczeniami pokoleń naszych poprzedników, łowiectwo w Polsce jest doskonale zorganizowane i dziś jest realizowane przez armię ok. 130 tys. pasjonatów, którzy ogromną pracą społeczną i niemałymi środkami prywatnymi dbają o zwierzęta dziko żyjące na terenie prawie całego kraju (z wyjątkiem terenów zurbanizowanych i chronionych). Dotyczy to oczywiście nie tylko redukcji pogłowia poszczególnych populacji, ale również redukcji drapieżników rodzimych np. lisów, jeśli chcemy zachować populacje zajęcy, kuropatw czy coraz rzadszych chronionych cietrzewi i głuszców, tym bardziej likwidacji gatunków obcych w naszych ekosystemach, jak

jenoty czy norki amerykańskie, które robią spustoszenie m.in. w łęgach naszych dzikich kaczek i gęsi.

Gospodarka łowiecka ma również wymiar ekonomiczny w gospodarce narodowej. Dochody ze sprzedaży dzierzyny w punktach skupów i od myśliwych, którzy upolowaną zwierzynę mogą za opłatą pobrać na własny użytek, pokrywają koszty dzierzawy obwodów, odszkodowania dla rolników za szkody w uprawach i na pokrycie niektórych kosztów prowadzenia gospodarki łowieckiej, np. zakup karmy czy materiały budowlane. Reszta kosztów łowiectwa szacowana łącznie na ok. 1,5 mld złotych rocznie to praca społeczna myśliwych.

S.W.: Z tego co Pan mówi, to praca w kole łowieckim jest swoistym przywiązaniem do danego obwodu. Tam się spędza urlopy, tam się odpoczywa..., ba, można tam przeżyć zmianę ustroju politycznego...

W.M.: Jeśli „zaczepiamy” trochę o politykę, której zawsze starałem się unikać, to powiem, że nie przypuszczałem, że moje myślistwo na Kurpiach na kilka lat całkowicie zmieni moje życie – właśnie trochę w kierunku polityki..., ale po kolei. Okres transformacji politycznej w Polsce w latach 1989–1991 to również rewolucja w Polskim Związku Łowieckim, która dotyczyła zmian w kierownictwie związku i jego statucie, a także batalii o kształt polskiego modelu łowiectwa. Koledzy w kole wybrali mnie na funkcję delegata na zjazd wojewódzkie PZŁ w Warszawie i Łomży, na których toczyły się burzliwe debaty dotyczące tych zmian i wybory delegatów na zjazd krajowy w 1991 r. – zostałem jednym z nich. Niestety PZŁ był uważany wówczas w niektórych środowiskach politycznych za ostoję „komuny” – do natychmiastowej likwidacji – co nie było w pełni uzasadnione, bo była to zawsze organizacja bardzo demokratyczna, myśliwymi byli i nadal są przedstawiciele wszystkich zawodów i warstw społecznych. Faktem jest jednak, że wtedy funkcje kierownicze w związku pełnili działacze partyjni, a prezesem Naczelnej Rady Łowieckiej był generał Milicji Obywatelskiej. Trzeba było bronić PZŁ przed likwidacją i ratować ukształtowany przez wieki polski model łowiectwa, oparty na tym, że zwierzyna w stanie wolnym jest własnością Skarbu Państwa, a polować mogą wyłącznie odpowiednio przeszkoleni członkowie PZŁ, którzy są zrzeszeni w kołach łowieckich dzierzawiących od państwa obwody łowieckie. PZŁ jest stowarzyszeniem samorządnym, ale pod nadzorem Ministra Środowiska i na terenie całego kraju prowadzi planową gospodarkę łowiecką realizowaną społeczną pracą myśliwych. Przeciwnie temu modelowi powstało kilka koncepcji m.in. na wzór niektórych krajów zachodnich, gdzie prawo polowania ma właściciel gruntu co nieuchronnie prowadzi praktycznie do likwidacji zwierzyny. Innym pomysłem było przejście polowania na zwierzynę grubą przez leśników, a na drobną przez rolników. Muszę przyznać, że ówczesni szefowie PZŁ, widząc zagrożenie dalszego istnienia związku, szybko zrezygnowali ze swoich funkcji...

S.W.: Może bali się, że zostaną „odstrzeleni”?

W.M.: To oczywiście żart... W rzeczywistości sprawa była poważna i wymagała dużego zaangażowania, odpo-



Ryc. 3. W Parlamencie Europejskim w Strasburgu

wiedniej wiedzy i dalekiej perspektywy na przyszłość polskiej przyrody. W wyniku zmian personalnych w kierownictwie związku przewodniczącym Zarządu Głównego PZŁ czyli Łowczym Krajowym, został kombatan AK, w powstaniu warszawskim żołnierz batalionu *Parasol*, a prezesem Naczelnej Rady Łowieckiej – nadleśniczy ze Zwierzyńca. Zaangażowałem się w te działania widocznie na tyle energicznie, że ostatecznie zostałem wiceprzewodniczącym Zarządu Głównego PZŁ, funkcję tę pełniłem społecznie w latach 1990–1997. To były lata bardzo wytężonej pracy społecznej z wieloma wspaniałymi ludźmi, w tym jako doradca Sejmu RP i Ministra Środowiska w zakresie łowiectwa, w 1991 r. kandydowałem do Sejmu RP z ramienia komitetu Zdrowa Polska – Sojusz Ekologiczny, brałem udział w organizacji Zgromadzenia Ogólnego Międzynarodowej Rady Łowieckiej i Ochrony Zwierzyny (CIC) w Krakowie w 1994 r., co wiązało się z wyjazdami zagranicznymi, m.in. do Parlamentu Europejskiego (ryc. 3) i na międzynarodowe wystawy łowieckie. Reprezentowałem PZŁ na międzynarodowych konferencjach dotyczących zwierząt łownych i ptaków migrujących. Z ramienia związku zostałem powołany na członka Rady Naukowej Biebrzańskiego Parku Narodowego, gdzie wprawdzie z niemałym trudem, ale ostatecznie przyczyniłem się do uchwalenia zakazu polowania w parku na łosie, a potem do moratorium na odstrzał łosi w całym kraju, co obowiązuje do dziś. Sprawa tych łosi nie była taka oczywista, bo kontrpropozycja forsowana przez jednego z ówczesnych wiceministrów ochrony środowiska była znaczna redukcja pogłowia łosi w Polsce i jego likwidacja po zachodniej stronie Wisły „do stanu zerowego”, pomysł ten nie został zrealizowany głównie dzięki akcji PZŁ i zaprzyjaźnionych z nami posłów w Sejmie RP.

S.W.: Był nawet taki żart, że wprowadzono moratorium na odstrzał łosi, bo ktoś nazwał żonę tego pana „starą kłepą”...

W.M.: To by znaczyło, że twórca tego żartu znał się trochę na zwierzętach – na razie moratorium obowiązuje, choć znaczny wzrost pogłowia łosi skłania do dyskusji na temat częściowego powrotu do ich odstrzału.

W ramach funkcji wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego PZŁ powierzono mi dział kultury łowieckiej,

w tym redakcję *Łowca Polskiego*, jednego z najstarszych czasopism polskich, wydawanego od 1899 r. Wtedy przeżywało ono kryzys – trudności z uzyskaniem przydziału papieru, niska prenumerata, niezbyt atrakcyjna forma gazetowa i opóźnienia w wydawaniu miesięcznika. Zaangażowałem się w reorganizację redakcji, powstało Wydawnictwo *Łowiec Polski* jako spółka z o.o. własność Zarządu Głównego PZŁ i opracowaliśmy całkiem nową edycję miesięcznika zarówno w zakresie tematycznym, jak i szaty graficznej – aktualna do dziś. W 1991 r. zostałem powołany na stanowisko redaktora naczelnego oraz prezesa tej spółki i to była już funkcja etatowa, co zmusiło mnie do ograniczenia zatrudnienia w PIG do połowy etatu i tak na dwóch etatach pracowałem przez siedem lat do 1998 r. To był trudny i bardzo pracowity okres bo co miesiąc trzeba wydawać nowy numer miesięcznika w tym przygotowanie własnych artykułów. W tamtym czasie kluczowym tematem moich publikacji w *Łowcu* była dyskusja nad kształtem nowej sejmowej ustawy *Prawo Łowieckie* i obrona dotychczasowego modelu łowiectwa w Polsce. W codziennej pracy redakcyjnej najwięcej czasu pochłaniały teksty nadsyłane przez licznych autorów, były to artykuły zarówno ściśle naukowe, jak i myśliwskie wspomnienia czy opowiadania, a koła łowieckie (jest ich ponad 2,5 tys.) przysyłały do redakcji reportaże ze swoich imprez, inwestycji oraz sukcesów łowieckich, trzeba to wszystko przeczytać, preselekcjonować i wybrane do druku zrehabilitować. Poza miesięcznikiem wydawaliśmy szereg książek zarówno opowiadań i wspomnień myśliwskich, jak i podręczników i instrukcji łowieckich oraz kalendarzy z pięknymi zdjęciami zwierzyny. Wydaliśmy również sponsorowany przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej album *W krainie wilka* z unikalnymi zdjęciami wilków w ich naturalnym środowisku, autorstwa bieszczadzkiego fotografa Tadeusza Budzińskiego, i tekstem w trzech językach. Cała ta działalność redakcyjna była dla mnie niebywałym wyzwaniem, przy całkowitym braku doświadczenia w takiej pracy, musiałem się tego uczyć od podstaw. Niewątpliwym sukcesem, jaki wtedy odniosła nowa edycja *Łowca Polskiego* z nakładem na poziomie ok. 45 tys., był możliwy dzięki pracy doświadczonych redaktorów z niezwykle pracowitym Stefanem Pańtakiem na czele, który pełnił kluczową funkcję sekretarza redakcji i przy współpracy z redaktorem technicznym Andrzejem Wierzbienem (wybitny fotografik) co miesiąc przygotowywał pismo do druku. Okres ten był pracowity, ale również bardzo ciekawy i cenny, bo związany z poznaniem wielu wybitnych i ciekawych ludzi – myśliwych, a jednocześnie autorów, polityków, aktorów, naukowców, grafików, fotografików. Wymienię tylko kilku z nich blisko związanych z redakcją: Ryszard Dzieciołowski – profesor SGGW, specjalista zoologii leśnej i łowiectwa, autor licznych podręczników i monografii, wieloletni członek Kolegium Redakcyjnego *Łowca Polskiego*; Stefan Szmidt znany aktor filmowy i teatralny, mniej znany jako doskonały malarz i grafik, piękne portrety namalowane w trakcie kręcenia filmu *Ogniem i mieczem* wystawiał w Łazienkach Królewskich i Teatrze Polskim, współpracownik redakcji *Łowca*...; Bronisław Komorowski, wówczas poseł na Sejm RP, późniejszy Prezydent RP; Wacław Przybylski – znany konferansjer radiowo-telewizyjny (starsi pamiętają duet Przybylski i Rokita) popularyzator kultury łowieckiej, „dusza towarzystwa”; Krzysztof Szuster – aktor, prezes Związku Artystów Scen

Polskich, hodowca koni, biznesmen – przedstawiciel w Polsce znanych zachodnich firm produkujących broń, amunicję i akcesoria myśliwskie; Tomasz Konarski – artysta plastyk, autor łowieckich wspomnień, wieloletni dyrektor i kustosz Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Łazienkach Królewskich i wielu innych autorów fotografii, pracowników etatowych i współpracowników redakcji *Łowca Polskiego* – serdecznych przyjaciół, których większość już niestety nie ma wśród nas, ale pozostawili serdeczną pamięć, swoje dzieła i zdjęcia.

Egzystencja każdego czasopisma w znacznym stopniu zależy od reklam, w przypadku *Łowca*... to broń myśliwska, amunicja, lunety, lornetki i inne akcesoria myśliwskie, również ubrania i obuwie.

Na zaproszenie wielu firm europejskich brałem udział w licznych, bardzo ciekawych wyjazdach zagranicznych w celu przygotowania sponsorowanych reportaży publikowanych w *Łowcu Polskim*. Redakcja brała również udział w wielu wystawach i targach łowieckich i leśnych, pokazach i konkursach psów myśliwskich, licznych zawodach strzeleckich na strzelnicach myśliwskich w całym kraju, jak również organizacji różnych imprez, jak np. konkursach muzyki i sygnalistyki łowieckiej czy dorocznego konkursu fotografii przyrodniczo-łowieckiej. Ten ostatni odbywał się od wielu lat, kiedyś z udziałem Włodzimierza Puchalskiego – wspaniałego myśliwego i fotografa – jako uczestnika, a później jurora konkursu. Z mojej inicjatywy konkurs zyskał imię Włodzimierza Puchalskiego, na co otrzymaliśmy oficjalną zgodę jego spadkobierców. W Mennicy Państwowej został wybitny specjalny medal, co roku przyznawany zdobywcy grand prix konkursu, w którym kilkaset fantastycznych zdjęć jest ocenianych przez jury w kilku kategoriach, a jego finał jest zwieńczony uroczystą galą i wystawą nagrodzonych prac w Łazienkach Królewskich.

S.W.: Wspaniałe osiągnięcia osobiste. Póki co niewiele miejsca poświęcił Pan samym polowaniom, które przecież miały miejsce.

W.M.: Oczywiście, w trakcie tych kilku lat, poza pracą były też polowania i to nie tylko w łowisku naszego koła, ale również organizowane w Ośrodkach Hodowli Zwierzyny PZŁ (wydzielone z wydzierżawienia zasobne łowiska prowadzące badania naukowe, utrzymujące się z hodowli wolierowej bażantów i kuropatw, hodowli zagrodowej danieli, odłowów zajęcy na eksport i polowań dewizowych). Polowałem również sporadycznie w różnych rejonach Polski na zaproszenia kolegów myśliwych i zaprzyjaźnionych kół łowieckich, szczególnie pamiętam zimowe polowania w okolicach Wysowej w Beskidzie Niskim i w Bieszczadach (ryc. 4). Były to zawsze bardzo ciekawe momenty, bo poznawało się nie tylko nowe rejony polowań, ale i nowych kolegów, ich koła łowieckie, metody polowań i lokalne zwyczaje myśliwskie z nimi związane.

Moja działalność we władzach PZŁ i redakcji *Łowca Polskiego* zakończyła się w 1998 r., wraz z kolejną zmianą naczelników władz PZŁ i zakończeniem kadencji pełnionych przeze mnie funkcji. Do dziś pozostały żywe, liczne kontakty, również z obecną redakcją, no i pamiątka w postaci najważniejszych odznaczeń łowieckich ze *Złotem* (Honorowy Żeton Zasługi) i *Medalem św. Huberta* na czele.



Ryc. 4. Na polowaniu w Bieszczadach



Ryc. 5. Kłepa i łoszak



Ryc. 6. Koziół

Wróciłem na pełny etat w PIG i zabrałem się za odrabianie zaległości w pracy naukowej, co zaowocowało habilitacją w 2006 r. W 2018 r. przeszedłem na emeryturę.

Nadal, choć w ograniczonym zakresie, poluję w naszym kurpiowskim obwodzie, nie rozstając się przy tym z teleobiektywem – sukcesy fotograficzne dają wiele satysfakcji... (ryc. 5–9).

S.W.: W ostatnim okresie sporo mówiło się o dzikich zwierzętach w naszych miastach i osiedlach mieszkani-



Ryc. 7. Kuna leśna, czyli tumak



Ryc. 8. Sarny we mgle



Ryc. 9. Zachód

wych. W mojej małej wsi pod Grodziskiem Mazowieckim mamy ok. 50 dzików. Potrafią nastraszyć! W Bieszczadach były ofiary śmiertelne ataków niedźwiedzi brunatnych. Co by Pan rekomendował w takich sytuacjach: odstrzał, relokację zwierzyny?

W.M.: Oczywiście w obszarach zurbanizowanych odstrzał jest wykluczony, a odłowy bardzo trudne i kosztowne. Faktem jest, że zwierzyna bardzo reaguje na strzał, zapamiętuje miejsce i stroni od niego przynajmniej przez

jakiś czas. Dlatego słuszne chyba są próby strzelania do niedźwiedzi, wilków czy dzików kulami gumowymi, które potrafią skutecznie odstraszyć. Niestety trudny do opanowania jest problem wyrzucanych byle gdzie odpadów żywności, nie mówiąc już o świadomym „dokarmianiu” dzików w miastach – to niedopuszczalne. Pamiętam, że w parkach narodowych w Górach Skalistych w USA, w rejonach przeznaczonych dla turystów, były „pancerne” śmietniki niedostępne dla niedźwiedzi.

S.W.: Jak Pan myśli, czy ta rozmowa przyczyni się chociaż trochę do zrozumienia tego, że działalność łowiecka jest niezbędna do prawidłowego funkcjonowania zwierząt w naszym otoczeniu, w przyrodzie, zdejmie trochę tego odium ciężącego na myśliwych, że tylko zabijają bezmyślnie?

W.M.: Cała moja wieloletnia działalność społeczna i redakcyjna w PZŁ była uzasadniona nadzieją, że propagowanie planowej gospodarki łowieckiej poprawi wiedzę społeczeństwa w tej dziedzinie. Niestety jest grupa ludzi, do których nie trafia żadna wiedza ani argumentacja, a którzy są nastawieni na krytykę, nieraz dla samej krytyki, dla pokazania, że jest się lepszym albo co najgorsze dla jakiś celów... bywa, że politycznych. W socjologii jest znana grupa ludzi nieposiadających żadnej pasji ani wyraźnego celu, z natury dość leniwych, którzy za to zaciekle zwalczają wszelkich pasjonatów, nie koniecznie myśliwych. Jest też grupa uważająca się za „ekologów”, która głośno krzyczy, macha transparentami, przykuwa się łańcuchami do drzew czy nawet niszczy urządzenia łowieckie, ale dla przyrody i dziko żyjących zwierząt nie robi nic pożytecznego. My myśliwi możemy na to zareagować tylko tysiącami dniówek ciężkiej pracy w naszych łowiskach... poza tymi pracami codziennymi, o których już wspomniałem, sadzimy lasy, zagospodarowujemy nieużytki rolne, dosadzamy krzewy i drzewa owocowe, urządzamy wodopoje, uprawiamy poletka śródleśne, urządzamy remizy dla ptaków itd. Oczywiście z tych dokonań korzystają nie tylko zwierzęta, na które polujemy, to poprawia warunki bytowania całej naszej fauny. Osobom, które interesują się dyskusją

na temat łowiectwa, polecam książkę Herberta Kalchreute-ra (niemiecki przyrodnik – ornitolog, nie myśliwy) pt. *Rzecz o myślistwie. Za i przeciw* (wydanie polskie 1983). Znanie motto tej książki: *Gdybym miał jednego dolara na ochronę przyrody, oddałbym go organizacjom łowieckim* [...].

S.W.: Ostatnie pytanie, chyba najbardziej drażliwe. Jest Pan Ojcem trójki dzieci, jeden syn jest myśliwym. Czy dzieci powinny brać udział w polowaniach? Czy powinna być jakaś bariera wiekowa? Jak to wyglądało w przypadku Waszej Rodziny?

W.M.: Bariera jest aktualnie w Polsce w formie ustawowej niestety. Ustawa *Prawo Łowieckie* po nowelizacji w 2018 r. wprowadziła absolutny zakaz udziału dzieci do 18 roku życia w polowaniach. Polska jest jedynym państwem europejskim z tak restrykcyjnym prawem w tej kwestii. Trochę to wygląda na „zaścianek Europy”... Nad zniesieniem tego zakazu toczy się aktualnie debata w Sejmie RP, już po konsultacjach społecznych. Uważam, że rodzice mają prawo wychowywać swoje dzieci po swojemu, zgodnie z własną kulturą i tradycją, nie należy im tego konstytucyjnego prawa odbierać.

Moje dzieci całe dzieciństwo spędziły w naszym lesie na Kurpiach, nie brały konkretnego udziału w polowaniach bo to sprawa indywidualna myśliwego, choć bywało, że siedziały na sąsiednich ambonach z lornetką. Widziały strzeloną zwierzynę i szereg czynności z tym związanych. Moja wnuczka przed wyborem studiów medycznych sama chciała brać udział w patroszeniu i skórowaniu zwierzyny, aby poznać swoją reakcję na widok krwi i wnętrzności – widocznie się nie zraziła, bo aktualnie kończy ten kierunek. Argumentacja, że taki zakaz chroni psychikę dziecka i chroni je przed widokiem przemocy jest bardzo dyskusyjna. Nie uważam, by moje dzieci miały spaczoną psychikę czy wykazywały tendencje do przemocy. Dzieci w środowisku wiejskim na co dzień widzą uśmiercanie kury lub kaczki na rosół czy świnioobicie i nie sądzą, by przez to miały zniekształconą osobowość.

Wojciech Morawski, Stanisław Wołkowicz